

DZIŚ JESTEM PO PROSTU ZAKRĘCONY

Rozumiesz, po prostu, chcę być zakręcony. Słońce, ptaki śpiewają, spokojny, wiosenny dzień. Zatrząskuję drzwi samochodu. Juś siedzi na nocniku i mnie obserwuje. Pięćdziesiąt dwa lata wpatrywania się w niebo zmieniło mój mózg w reaktor jądrowy. Synteza jądrowa dwóch połówek piłki futbolowej. Przestań, krzyczy Juś i pokazuje mi, żeby podetrzeć mu pupę. Nie można przestać. Synteza jest natrętna. Stoję na dworcu, słońce

jak piłka

skacze po

schodach, znikając

w przejściu podziemnym...

W nocy te dwanaście wersów przybiję do muru. Było jasno jak w biały dzień, zrezygnowałem ze spania, papier oszalał. Zbliża się koniec tygodnia, powiedziałem. Film na dwie godziny wytrącił mnie z równowagi, teraz się zbieram, ale więcej o tym pod koniec. Panuje wariactwo, powietrze śmierdzi wojną w Iraku... Siedzieć na słońcu, zwykłe rzeczy, ale zbliża się wojna, dni skrzypią z powodu niebezpiecznej nudy i powtarzającego się rytmu kupowania w sklepie po drugiej stronie ulicy. Z billboardów chłodno spoglądają zgrabne kobiety w bieliźnie. Życie codzienne obejmuje bardzo mało rzeczy, dlatego literatura miała być wyjątkiem. Publikacje, publikacje, publikacje... W powietrzu latają *Archaeopteryxi* (nie wolno ich mieszać z *Confuciosornisem* lub *Enantiornithinesem*), trzaskającymi krzykami rysują niesymetryczne okręgi i dla zdobycia uwagi walczą z Boulezem, hukiem helikoptera lub być może z Kate Moss, królową skalarnych cząsteczek z maską księżycza z gołych drutów na zwróconej do nas prawą stroną twarzy, która zdradza Wenus/elektryczną Meduzę w peruce z brązowych australijskich

węży. Erotykon postmodernistycznej Meduzy. W
wymagowanym kasynie grałem z nią w tenisa na hologramie z
tańczącymi piłkami i poczułem, że do nadgarstka wracają mi Lassie i
gwałtowny ruch, który uderza piłkę z prędkością dźwięku. Nade mną
rozciągało się miasto, ujęte w krąg światła lampki na stole
i szum wentylatora z komputera. Fatalne uczucie,
Meduza aktywowała we mnie hormon i głód poezji
tu był, gęsty jak turecka kawa, wstrzyknął w moje żyły
adrenalinę, na ulicy wypróżnionego ja ożywił się podrealistyczny
hałas. Tyle o miłości, która zbiera żniwo w zielonym kolorze
ekwadorskiego wulkanu i przypomina malarstwo Pencka.
Hej, dziś jest dzień swobodnego strzelania gaf, krzyczałem,
arcymistrz szachowy dmucha w saksofon! Wir mnie
zapędził z powrotem do filmu, w którym rolę przemijającej
hipiski zagrała Nastasya Kinski. Scena z dzieckiem
uderzyła mnie w serce. Natychmiast przełączyłem kanał, ale cień
pozostał i zjadł kawał mojego serca. Przysłuchałem się. Potem poszedłem
do końca i końca nie było, trzeba było coś zrobić, o
trzeciej w nocy dopadła mnie ołowiana senność, ale mój
wielbłąd podróżował dalej, końca nie ma a ja jestem po prostu zakręcony.

D. P. HUP.

dzisiaj piję rozmyślając o tobie: ile się miesza w tym momencie miłość, krew, wspomnienia. otwarłem butelkę najlepszego wranca, rozmyślając o zagrzebiu, dubrowniku, sarajewie czy istambule, w milczeniu bez patosu lub zakłamanego sentymentalizmu gapię się na czerwony rubin w kieliszku moje spojrzenie uderzy w twój obraz na ścianie, ludzie na koparkach i ciężarówkach, którzy na coś czekają, jakiś rozgłos lub objawienie, w tle wznosi się majestatyczna złamana i powtórzona przez pryzmat czarna ściana awiniońskiej katedry, coś, co wyzwala i przygnębia, równocześnie otwiera się i grozi, coś radosnego, coś groteskowego, coś czarnego, świetlistego, podobnego do tego momentu smutku który pogrąża się w ciszy, żadne słowo nie dotknie go do żywego filmy odtwarzają się, jutro jest pogrzeb zbliża się godzina jedenasta ożywione fotografie w duszy, obrazy, które mówią jak widma w nieskończenie długich korytarzach bez czasu, oboje znów jesteśmy zatopieni głęboko w kolorach, brodzimy po ich żywym mięsie, które jest naszym bezimiennym życiem w całej wolności i dobrobycie, który był ci dany pełno się go nażyłeś, nie przejmując się za bardzo swoim talentem, w chwilach bliskości, długich jak prąd rzeki, który się nie zatrzymuje, wiedziałeś o tym dobrze zastanawiałeś się nad tym, dokładny anarchista, dorosły człowiek, który nie przestał być dzieckiem, nie szukałeś, nie było potrzeby badałeś to już, to co robiłeś, nie było wyrazem tego, że pragniesz wymyślonych światów, ale żywym dokumentem rzeczywistości po której krążyłeś z zapalem odkrywcy z aparatem fotograficznym w bezpośredniości, która kipiała w tobie z tobą własną stanowczością, człowiek, który stąpa poza narzucanymi hierarchiami czasu, przeżywający czas od środka, przeoczony tu i

tam, jasno widziany tu i tam żywy i aktywny świadek, początkujący
budowniczy zasad, obdarowany najlepszym...
a śmierć, cóż mam rzec, ja, który zostałem tutaj, wśród żywych
tobie, którego nie ma, w końcu do kogo mówię, istnieje punkt
w którym słowo nie ma czego szukać, człowiek zatapia się w duszy
drugiego człowieka i jest z nim, w rozbawionej beztrójce
dziecka dzieli sobie z nim jego dotyk geniuszu...
dane ci było, wstąpiłeś, wyjechałeś, teraz podróżujesz dalej
w nieosiągalną ostrość, w rozproszony środek światłości
którą uwielbiałeś i nikt nie potrafił jej tak ożywić
jak ty z twoją kartonową *camera obscura*
ale teraz nie mówisz nic ty, lecz tylko twoje obrazy, fotografie,
twoje figle, dziwne typografie, kserowane
majstersztyki, maszyny, które stworzyłeś, lub zanikłe z czasem
scenografie, komiksy, albumy, senne wyposażenie wnętrza
opowieści tysiąca i jednej nocy, spowite tytoniowym dymem...
siedzimy przy stole pod zacienioną lampą, o trzeciej w nocy,
zwijasz papierosa, już nie wiem, o czym rozmawiamy
nagle chluśnie dzikie wspomnienie o tamtej jeździe z torpedami na
bagażniku golfa bojana przez bośniackie góry, i inne...
jeden za drugim falują nocą. gapię się w obraz na ścianie
przed sobą jak w żywe okno w jakiś inny świat... hej, hup
przyjacielu, teraz wznosimy toast za czas, którego już nie ma...

GWIAZDY

*Nad nim lśni sklepienie nieba,
kiedy ptak ćwierknie Polaris
starcu z oczu nagle zniknie,
w przejrzystym niebie zawiśnie.*

Gregor Stmiša, Mapa

Gwiazdy mieszkają na górze,
ale rzeczy zdarzają się na dole,
miasto jest dnem wszechświata.

Gwiazdy obojętnego dystansu.
Jasne. Kogo interesuje czapka bejsbolowa, którą
wiatr podbijał na głównej ulicy Bagdadu. Kanion, który został
zaorany przez bomby kasetowe, teraz wygląda inaczej niż w 1975 roku,
o trzeciej nad ranem w kryształe ciszy z balkonu na siódmym
piętrze. Nad żółtą ulicą
ciasnoty i zapuszczenia.
Na górze gwiazdy prują niebo.
Dziś robią to bombowce.

Gwiazdy w czarnej głębinie nad głową,
zimowa noc nad rozświetlonym miastem.
Śmierć cały kram wyczyści,
nic nie warta w porównaniu z wielką
falą *gama* światła z opadłej gwiazdnej igły magnetycznej
uderzającej o brzeg planety, na której jest moje miasto
napiętnowane moją wrażliwą duszą. Kant i ja,
zwyczajnie powiedziane, nikt, który nauczyłem się z tym żyć.
Nie wystarczy być różą, która kwitnie, lub pszczołą,
która w ultrafioletowym świetle odwilży w lutom
złodniaku obserwuje mądrego pszczelarza.

Hej, jałowe myśli i etyka człowieka, który tworzy,
żywe lody w lewej połowie mózgu,
gwiazdami z góry związany jak ślepiec na trawniku
przy rzece zielonego błota, którą monsun zostawił na lodzie,
podobnie jak człowieka przy maszynie do pisania
zostawi na lodzie sito złego nastroju,
ryś bez manier w porcelanowym sklepiku,
ktoś, „un autre”,
gwiazdy nad lodowym urwiskiem,
gdy Iztok zmarł w cierpliwej, niekończącej się nocy
naturalnej grozy, która do nas dołączyła na
lodowej stromiźnie pod zerem,
na górze w czarnej głębinie jaśniał Orion...
Pas Oriona osiedlił nas z żarem
dziewięćdziesiąt pięć kilo kuleje po wszechświecie jak skaczący
[krasnoludek...

LUBLAŃSKIE ZWADY

Grudzień. Zbliża się Nowy Rok. Niepokoi fakt, że zbliża się również operacja kolana. Sytuacja polityczna uspokoiła się, mamy nowego prezydenta i nową panią burmistrz. Juś właśnie wrócił od fryzjera. Mężczyzna, który w przeciwieństwie do kobiet nie zna się na tych rzeczach, stwierdza, że nie można zauważyć różnicy w długości jego włosów przed i po. Juś leży w łóżku, Darja czyta mu Jurka Murka, a ja na krześle znów się nachylam, zmęczony korygowaniem swojej niewydanej powieści, co do której nie jestem pewien, czy jest powieścią czy nie. Lata uciekają, a jej wydanie wlecze się bez końca.

OPUŚCIĆ LUBLANĘ

Dzisiaj musiałbym napisać wniosek o status niezależnego artysty,
ale wolę napisać wiersz.
Opuścić Lublanę, jakiś tytuł,
wystarczy, że poruszy cię język wiersza,
staniesz się biały, miękki jak przyjazny poranek.
Pomiędzy chmurami wiszą wielkie czerwone balony
z napisami Toyota, Benko, i Chiapas, cokolwiek one znaczą.
Opieram się o balustradę, w końcu wykorzystuję komputer
jeszcze do czegoś innego, niż na przykład odpowiedzi, pisma urzędowe, listy,
skargi, całe to pieprzenie, za przeproszeniem,
tak to w zasadzie trzeba określić,
dlatego że rzeczywiście, całe to pieprzenie zżera człowiekowi żołądek,
argument prowadzi oczywiście w innym kierunku, wszystko to trzeba robić,
żołądek musi trawić, ale jak ma trawić,
jeśli na końcu sam jest zżarty
i człowiek staje się złośliwcem bez żołądka,
dwa, trzy miesiące dusi się od kaszlu, pluje cyniczną trucizną,
a potem do widzenia Hyundai Santa Fe,
którego sobie kupuje minister za honorarium, które dostał na konto
[za książkę,
której nie napisał. Jaka więc korzyść stuprocentowej emerytury...
Opieram się o balustradę na tarasie,
na dole oddycha miasto zawinięte w pelerynę zielonych koron,
wśród zielonych pierzyn sterczą lublańskie dachy,
klocki bloków mieszkalnych na słońcu,

wir wspomnienia rzuca mnie w przeszłość, w poranki, kiedy stałem na
balkonie u Zinovienkowich we Frankfurcie,
po nieprzespanych nocach, kiedy jedliśmy, piliśmy i śpiewaliśmy
[w towarzystwie

najlepszych operowych śpiewaków na świecie, noc odbijała się echem
pełnym wiatru i namiętności,
człowieka ściska za serce silna tęsknota,
opuścić Lublanę, opuścić wnioski, dekryty i skargi,
w kuchni śpiewają Darja i Juš i słodko się przekomarzają,
Juš będzie miał urodziny, cały jest pobudzony,
Richard i Nickole i Robin i Jack pojechali na Vršič
nie mogę się doczekać, kiedy zacznę gryźć niebezpieczny
blask wiatru na stromej drodze pod górę,
w końcu rozpędziłem rower,
o rany, otwiera się, czuję zawieruchę wiersza na twarzy,
na ulicy zadął użębiony wiatr północny,
gdzieś daleko na północy rozlało się mleko,
drogi wołają, hej stary, pakuj walizki,
lina jest odwiązana,
podróż się zaczyna, ruszamy dalej, do Kairu,
opuścić Lublanę, gnój złoto, złoto gnój, tak, nie, I. A.,
rzenie osła, śmiech wielbłąda,
który wdepnął w odchody i strzepuje nogę,
ruch się ożywił, zakręciło papierowymi torebkami,
dźwięk kół na asfalcie szeleści jak odlepiana taśma klejąca,
opuścić Lublanę,
opuścić Lublanę,
miasto brzęczy kakofonią dźwięków i zajęczków z lusterek,
nad labiryntem wesołych ulic, siedzieć tu na górze
i przysłuchiwać się ruchowi ulicznemu, nad kotliną,
która przypomina Zatokę Tonkińską, tak sobie ją wyobrażam,
chodząc po domu wte i wewte, na krawędzi myśli łapać
promienie słoneczne i mieć odwagę i iść dalej,
anarchicznie i ze swobodną wyobraźnią,

opuścić Lublanę, stąpać po drogach poezji,
brać ją, tak jak kochanek bierze słodkie kobiece łono,
uczestnicząc w najeździe wszechświata na filiżankę kawy,
w przyjaznym mieście o przyjaznym poranku

na parkingu pod moim balkonem,
kiedy Juš wesoły odjeżdża
na świętowanie urodzin,
opuścić Lublanę, opuścić ją zawsze ponownie,
permanentnie ją opuszczać,
już dziś ją opuścić,
opuścić Lublanę,
chodzić po otwartej ulicy,
opuścić Lublanę

PREMIERA

Jestem elektrownią. Ode mnie biegną przewody do żył ludzi, które po styku zapalają się jak żarówki. I są. Istnieją. Już ma gorączkę i marudzi - co jest normalne. A teraz do rzeczy. Byłem na premierze. Wymieniłem żarówkę w samochodzie, szybko wepchnąłem do kieszeni dwie zepsute halogenki i poszedłem do teatru. Napadli na Irak. Francisco Yepes brzdąka na gitarze, na ekranie przeskakują zielone nagrania z nocnych bombardowań. Premiera miała rude włosy, wulgarnie się wierciła i była śmiertelnie znudzona. Na scenę przyciągnęli czołg, za którym przemykał woźny z taczka. Jak pies je czekoladę, to ma szarą kupę. Myślałem, żeby się ulotnić z sali, ale po mojej prawicy siedział ważny krytyk z żoną, która przypominała obiekt kształtu masła z fizyczną gęstością podobną do ciasta chlebowego. Po prawej siedział młodszy dyrektor teatru na wypowiedzeniu, oparciem szczęśliwie

[odgrodzony
od pająka z pozłacanymi paznokciami, swojej czarnej pani minister
[ds. marudzenia.

Przedstawienie w ogóle się nie kleiło. Najwyraźniej za dużo czasu zajęło mi wyczyszczenie skoroszytów. Około trzeciej w nocy wreszcie zacząłem pisać, włączyłem komputer, wpisałem hasło, potem dopadła mnie gorączka kurzu, zacząłem kaszleć jak stary motor, złapałem pierwszy skoroszyt i rzuciłem na stół. Stermata lupinek powiększała się, a góra skoroszytów powoli kurczyła w tempie „zimnego indyka” heroicznej terapii... Yepes zasnął na niebieskiej gitarze. Jakby na to czekał, z żółtego skoroszytu poderwał się biały nosorożec. Udawało mi się obronić przed jego niesprawiedliwymi oskarżeniami, ale on obstawał przy swoim.

Co do diabła wyczynia nosorożec w skoroszycie? Na scenie historia toczyła się w ślimaczym tempie. Woźny, którego w poprzednim

akcie uznali za manipulanta sprzętu do ćwiczeń,
nerwowo palił papierosy Daniloff. Śmierdziało z Sawy. Coś
trzeba było zrobić. Chwyciłem dyrektora teatru na
wypowiedzeniu i maznałem go w krtań bednarsko grubej żony
krytyka po lewej. Pani burmistrz obróciła się i groźnie na mnie spojrzała,
ale sukienka jej się zsunęła wysoko na jedwabne uda i cel został
osiągnięty. Akcja się ożywiła, przez okno na trzecim
piętrze wleciała dama w czarnym welonie, zawinięta
w dywan. Wszyscy tam pobiegli, woźny przydepnął papierosa i
ze złością go wrzucił do taczki. Skoroszyty się przewróciły. Latający
skoroszyt z niebieskimi okładkami uderzył w formularze
autocasco. Nosorożec obrócił się napadając od strony
dyrektora teatru na wypowiedzeniu, którego dolna połówka
wystawała z gęby muzy krytyka i dziko wymachiwał nogami.
Niemiły widok. Grawitacja jest procesem. Chodziło o coraz
większe zagięcie jej bielizny. Myślę, że Einstein
próbował wyrównać je przy pomocy kosmologicznej konstanty. Gdzie
przepadły marchewki i czosnek? Tyle rozumiałem. Chyba
błędnie. Czasomiejscie nie jest miarowe lecz ma dwie grube
nogi, które wierzgają. To działa na wszystkich polach energetycznych
[lecz w
różnych kierunkach. W relacji z promieniowaniem
[elektromagnetycznym, które
się szerzy, grawitacja jest czymś, co ściąga całościowo. Jak smak
[niedojrzałych
orzechów lub zimowych gruszek. Rury przepuszczały na wszystkich
[stronach,
woźny się trzyma za głowę, kto to posprząta, pomyślcie, noc w
Alpach, jezioro wśród gór, pełnia księżyca, mróz... *echte*
Schönberg. Czy granice pola grawitacyjnego są identyczne z krawędzią
wszechświata? Czy formuła wszechświata jest identyczna z formułą
[grawitacji?
Wiersz jest procesem, czymś całościowym, co chodzi tu i tam. Czytelnikom
polecam, żeby spróbowali dimenhydrnatu. Księżyc zarysował kontury
[twarzy

damie w czarnym welonie. Trupie kości policzkowe odbijały się w sinych barwach radioaktywnego reflektora. Pani burmistrz,
[opartej

na plecach, świeciły się nogi w złoto zawiązanych skarpetkach. W audytorium zrobiło się gorąco. Jak opisać falowanie piersi w jedwabnych filizankach do herbaty, uda sarny w sukni marzeń? Byłem zmęczony, wszy społeczeństwa i kremy kosmetyczne zawisły na moich powiekach, zarysowując orbitę siniaków. Po zakończeniu przedstawienia do stołu, przy którym zastanawiałem się nad grawitacją nylonowych
[pończoch i masła,
przysiadł się czarny pies. Piliśmy fałszywy bruderszaft z piwem.

[Przy drzwiach

hukał dyrektor teatru i pani dekorator miasta na Nowy Rok z gołymi arbuzami piersi z dużą zawartością skrobii, olein, węglowodanów i mniejszą ilością silikonu wcisnęła go w kąt oczekiwania dobrej roboty. Pani potrafiła wstydliwie krzyżować nogi i wzmacniać możliwości swoich argumentów. Pani burmistrz rozwścieczona uniosła wzrok i wbiła mi go w czoło. Dziwiłem się, że nikt nie tknął kawioru. To mnie zawróciło trzydzieści lat w przeszłość. W muzyczne czasy studiowania skrzypiec. Do pierwszych niepewnych kroków obserwowania świata swoimi oczami. Do haju długich improwizacji Doorsów, które zaczynały się krzykiem motyla i kończyły tupotem białych nosorożców i raketami tomahawk nad Bagdadem. Tylko co powiedziałyby Wallace Stevens? Kurtyna opadła. Klaskanie. Zapalono światła, premiera się skończyła. Zęby, wstającej z krzesła rudowłosej pani burmistrz, dziko odbijały się w iskrach szkła kobaltowego. Odstawiłem szklankę piwa i westchnąłem. Uważam, że premiera nudów się udała.

SPODNIE NA NIEBIE

Obserwuję ciało, w którym tkwi jasna ludzka myśl. Gołąb ubrudzony smołą na plaży. Ciało tyje, ale wewnątrz rozpościera się poranek otwarty w wszechświat bezgranicznej ciemności, człowieka połknie jednym haustem, wygryzie go w czysty blask, myśli i nocne mary, karma dla ptaków dla godzin bezsenności, poranny rumieniec nieprzespanej nocy, usta, które w trakcie ziewania połkną cały parostatek na morzu, w kształcie małego czworokątnego okna na ósmym piętrze krajobrazu na południu, czysty blask.

Nocą szum śpiącego miasta. Na miejskiej pustyni kojotów zakręca autobus, który rusza z przystanku. Człowiek przysłuchuje się piskowi hamulców przed światłami. Jakby go rzeźbiarz ulepił z gliny. Poezja jest najdrobniejszym pyłem w aptecznym zbiorze peruk, destylowanym alkoholem w pudernicze prostytutki lub [przeczcuciem teologa wolności dla najintymniejszej samotności mordercy lub oszusta, którzy walczą o przeżycie i żyją bez miary. Jest szum radiowy, hałas w zaspanej głowie, głupie pytanie, kim jestem. Odpowiedź w spojrzeniu, zapatrzonym w palarnię jałowych myśli, w kasyno obrzędów namiętności, w jacuzzi bez przyczyny: człowiek zapładnia się i rodzi sam, odpowiedzialność wypływa z żywego punktu zero.

Przeglądam sobie głowę oczyma dziecka, które nie wie, że nie wie, dziecka, które się śmieje i biegnie ulicą na przedmieściach Lublany. Z różowej ciemności wyłaniają się zadymione topole. W nieprzespanym mieście przy zapachu kawy zastanawiam się nad różnicą pomiędzy ironią i kruchą wrażliwością: cynizm ma większą wartość niż złoto, człowieka uderzy niewinne spojrzenie uśmiechającego się dziecka. W misie z sinawej porcelany czerwone listy endywii. Spodnie na niebie przypominają Chile. *Zona rosa* w

Santiago, piąta po południu, hałas z pobliskiego dworca
autobusowego, twoje prze pocone ciało na moim, zwiotczały członek
[wyślizgujący
się z przemoczonej pochwy w przypiływie wieczoru. Poranek. Długa plaża
brązowych generałów w Valparaiso. Wiatr piaskowy, który w
ulicznym labiryncie obnażonych elektrycznych przewodów nad
morską stromizną dał w blaszane chaty w *faveli*, piski
mew, powolna ręka, która później w swobodnym pływakim
stylu pisze w rzece słów, przysłuchując się niebezpiecznym
szumom nocy. Głośny odjazd autobusu z przystanku, oczekiwanie psa
na plaży wśród czarnych osadów i żywych grud smoły
z pomarańczowymi dziobami, na progu gasnących księżycowych promieni
bezsensowności w rytmie szaro wschodzącego marcowego poranka.

SUPERMARKET

Wszedłem do supermarketu. Podobnego wszyskim na świecie. Jeśli mnie pamięć nie myli – pamięć zawsze myli – po lewej stronie od wejścia był rząd kas, przed którymi w długich kolejkach stali kupujący z wózkami pełnymi niepotrzebnego towaru. Supermarket, współczesne muzeum, galeria, sala koncertowa, przynoszący wysoki zysk chram sztuki. Wszystko w jednym. Kupujący zbliża się do kubka jogurtu i go z delikatnością podglądacza, którego interesuje data przydatności

[do spożycia –

przynajmniej tak myśli – weźmie do ręki i dokładnie przestudiuje. Różnokolorowe kubki jogurtów kuszą, na pokaz wystawione z artystycznym uwodzicielstwem najlepszych znawców serii obrazów zupy Campbell, firmy z problemami i bodajże chwilę przed bankructwem. Cieszę się, że w Kuala Lumpur odkryłem i przygotowałem sobie jedną z konserw zupy szparagowej wspomnianej firmy. Dzięki temu przyłączyłem się do szeregu współczesnych artystów, którzy jedzą sztukę. Myślę o sloganach, które piszą poeci żyjący z reklam. Udany slogan reklamowy – których nie jest dużo – przynosi człowiekowi więcej

[pieniędzy niż

dziesięć tomików poezji. Jednak nie zawsze. Poetycko podróżować z jednego międzynarodowego spotkania na drugie, tu i tam skoczyć na uniwersytet Columbia, zobaczyć sobie Adelajdę w blasku reflektorów letniego festiwalu aborygeńskiej poezji, w Pittsburgu prowadzić warsztaty albo w kawiarni na rogu w Niemieckiej Kolonii w Jeruzalem wypić kawę w towarzystwie Yehude Amichaia, wiąże się z określonymi środkami, o które troszczą się fundacje, uniwersytety, organizatorzy spotkań, ministerstwa kultury i

podobne instytucje. Poeta jest sławny, podróżuje i odbiera nagrody. Na końcu śmierć nagradza go nieśmiertelnością. Grrk.

Finito. Lecz niech wróćę do blasku artystycznych instalacji sprzedaży jednogodzinnych bułek, kielbas z niewiarygodną ilością E (kto ma alergię, wie, o czym mówię), zapachowych chusteczek i ogromnych ilości papieru toaletowego (pomysł, żeby na nich nadrukować wersy, jest inicjatywą, która jeszcze czeka na realizację), które przyćmiewają Josepha Beuysa i jego sztukę przemijających materiałów (skrzynie z książkami, które wożą na zmielenie do papierni Vevče, w podobny sposób przyćmiewają instalacje blaszanych książek Kiefera). Sztuka jako projekt natychmiastowego przemijania. Współczesny supermarket (kto się [zaoferuje być sponsorem?), ogromna hala, w porównaniu z którą studio Pollocka wyglądałoby śmiesznie, zamieszanie wśród ludzi przygotowanych na szastanie pieniędzmi na niepotrzebny kram, chodzi o wyjątkową okazję, nieprzejednaną w tym momencie uważnie nadzorowanego tańca wizerunku (próżnego piękna) i pragnienia (pustej rozkoszy) z rabatem dla współczesnych skąpców na kredyt, którzy tęsknią za znakami prestiżowych firm i użyciem karty kredytowej. Czy ktoś pomyślał o całym artystycznym projekcie Wagnera? Tłumy konsumentów tańczą do muzyki, która wydobywa się w udźwiękowieniu najwyższej jakości. »Gnój jest złotem, złoto jest gnojem.« I.A. Poezja Kosovela daje temu całkowity wyraz. Człowiek zapomina kupioną na wyprzedży kielbasę schować na noc do lodówki. Kielbasę, za którą zapłacił kartą kredytową (kto zechce być sponsorem?), z wypłaty, którą dostanie dopiero w przyszłym miesiącu. Nierozumne gesty, wbrew obniżonej cenie podwójnie wyrzucony pieniądz. Data przydatności oczywiście minęła, było to wyraźnie napisane, powód obniżki musi być oczywisty, również kupujący ma prawa, inaczej kolejny raz nie da się nabrać. Kielbasa kończy wraz z torebką z poliwinylu i folią z PCW, w którą była zapakowana próżniowo, w śmieciach. Sto lat, czas, potrzebny na rozkład polichlorku winylu. Niedopałek papierosa, [pięć lat.

Krótki termin przydatności oznacza długi czas rozkładu. Kielbasa jest współczesną mumią w bandażach z plastiku, która rozpadnie się na elementy dopiero za kilkaset lat. Ogromny karnawał powoli rozpadającego się gnoju, nieśmiertelność w śmieciach, którą strzeże (materiał izolacyjny) wyobcowanie współczesnego oszczędnego konsumenta w kręgu pieniędzy, płynącego jak rzeka z dziesięcioma [tysiącami potoków z plastikowego rachunku w sprywatyzowanym banku (długi [zostały przeniesione do długu publicznego). Co by się stało, gdyby zamknięto [sklepy

na tydzień! Wino! Wyprzedaż! Tani import z Argentyny, Chile albo południowej Francji, kupcy, przekonani, że na Boże [Narodzenie i Nowy Rok nikt nie będzie kupował tańszych win (bez względu na jakość) sprzedają je dziesięć razy drożej. A pieniądze płyną jak woda. Człowiek zatrzymuje się i uśmiecha. Enolog mlaszcze językiem. Odżywa w nim wspomnienie o podróży po Ameryce Południowej. Czternaście dni na zielonym kontynencie. Wyjątkowa okazja, 6000 Euro. Ulice ze straganami, na których szlachetne dzikusy w za małych kapeluszach sprzedają plastikowe teflony z Chin. P.R. China. Wizyta w winnicy, wliczone w pakiet turystyczny. Widok na najwyższą górę na horyzoncie. Dla awanturników wyjątkowe wejście do bazy (dodatkowo 3000 Euro). Albo na sam szczyt: 20.000 Euro (przewodnik nie odpowiada za problemy na górze). Lecz nie zawiera picia na stromych skałach w okolicach Antofagasty (tu tylko przenocujemy), szalonego pieprzenia na pięciu tysiącach [metrów nad

poziomem morza. Tego nie wliczyliśmy do oferty w supermarkecie. Rzeczywiście przy wejściu wita nas zdjęcie uśmiechniętego alpinisty lub fotografia zwycięskiego momentu zdobycia złotego medalu na mistrzostwach świata przez jasnowłosą atletkę, którą sponsoruje wspomniana sieć sklepów (dopóki jej nie przyłapią, że bierze ich używki). Wina w muzeum współczesnej wyobraźni, na wystawie przemijania najwyższych osiągnięć i

zaczarowanych fetyszy nowej sztuki z wyznaczoną datą przydatności i szybkiej przemiany trendów, w tym ogromnym cyrku

skapstwa i obrazowego zdzierania skóry, miłości do nieprzydatnych odzień albo zamienników z plastiku, na nowoczesnym deptaku dziewcząt, pożądlivych kobiet i postawnych młodzieńców, których naznaczyło stulecie dzikiego głodowania, tłuszczów i węglowodanów, krótko ostrzyżonych szyj oraz czaszek-kielbas, *agora* bogactwa w społeczeństwie, rozkosz masowej intymności, w której niszczy się zarobek tamtych godzin, jak tamci tacy sami kupcy pracują jako służący, więźniowie martwego zarabiania pieniędzy w wyobcowanych pracach, sprzedawcy albo marnie opłacani modele, handlarze, funkcjonariusze po drugiej stronie błyszczących kulis, gdzie dzieje się świat, oddalony i rozdrobniony w tektonice spektaklu i zapomnienia ludzi z obcych

[kontynentów,

ich wyroby spotkały się w supermarkecie w alei mody globalnego opakowania, oznaczone tym samym logo, które je identyfikuje na całym świecie, zupami Campbell, przed Wigilią, która zbliża się nieuchronnie w dzikiej gorączce kupowania, pakowania i dawania prezentów, z którymi nikt nie wie, co zrobić, i z powodu której dzisiaj (w dziwnej atmosferze współczucia spowodowanej świętami) zamkną supermarket dwie godziny wcześniej niż zwykle.

ZAŁOŻENIE

PAŃSTWOWEGO ZBĘDNEGO TEATRU SŁOWEŃSKIEGO

Dzisiaj założyłem Państwowy Zbędny Teatr Słoweński.

Kto będzie należał?

Aktorzy bez głosu, przeziębieni, smarkający zmierzają się w akrobatyce. Poetów, te wstrętne stwory, do których zaliczam siebie,

posypię słowami. Ich gołe ciała

będą paradować po Arbacie w towarzystwie krokodyli na smyczy,

hazardziści będą tak rzucali kości,

że zostaniemy umoczeni w kałamarzu,

z którego, jak hortensje, będą wystawały głowy.

Poeci i pisarze, doprawdy jakieś diabelskie nasienie,

które nas ekscytuje nurzącymi romansami bohaterów,

którzy późno szli spać i zatopiło ich jak Titanica.

Bojownicy o wolność Obszaru Triesteńskiego będą wymachiwać ręką,

dopóki będą przyznawać Nagrodę Nobla, poezja niczego nie osiągnie.

Tylko w jakimś chińskim więzieniu żyrafy będą wyciągać

szyje, żeby zobaczyć kawałek nieba, gdzie przywódcy partyjni z

dziecięcych głów robią papucie na eksport.

Będziemy organizować demonstracje, na których nie będziemy żądać

niczego. Jesteśmy zadowoleni z faszystów przy władzy i morderców na

placówkach dyplomatycznych, chcemy tylko, żeby sprzedało się

[jeszcze więcej

broni, żeby KD grupies nakradły jeszcze więcej pieniędzy i żeby

jakis polityk sprzedał jeszcze jedną własność państwową jakiemuś

inwestorowi z Belgii. Nasze żądania są skromne, żądamy, żeby

ścięli lasy, trawniki ogrodzili drutem kolczastym pod

napięciem, zabronili używania dróg publicznych, wystawili rachunek

[za powietrze i

widok na Krim. Żądamy, żeby pisarzy wymietli z mieszkań,

które dostali, jak byli dysydentami, i żeby wprowadzili ich pomiędzy
[świnie,
poeci, ci niepotrzebni śmierdziele i kłamczuchy, niech liżą buty temu
łysemu potworowi, żeby asfalt się rozstał i po szczelinie przylpiał
Mojżesz z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i na smyczy włóki za sobą
prezydenta jakiegoś stowarzyszenia i żeby razem odlecieli do nieba
wrzodów i uszkodzonych narządów trawiennych i więzadła krzyżowego,

[a martwi pisarze
będą występować z gałązką lauru w dupie, śpiewał i grał im będzie
północnoshodniosłoweński Bob Dylan, na głowę im będziemy
zakładać słuchawki i będą musieli słuchać sto pierwszej powtórki
mojej audycji radiowej *Terror tępaków*, z niesłyszalnymi głosami
niemów będą nas zabawiać, kiedy będą się związać w piękającej
boleści, gdyż nie mogą słuchać audycji po raz sto cztertnasty, ale
nie i nie, bo jest środa wieczorem, najpierw zbędny teatr,
z plastikowych kieliszków będziemy pili szampana, do jedzenia będą
guziki z mojej koszuli bez guzików, ja, impresario, menadżer,
dupa słońca, baletnica w cyrku Kludsky, która wypadła spod
dachu namiotu, ludzie chichoczą, ludzie klaszczą, ludzie się
śmieją, trzask był orgiastyczny, napięcie rośnie, elastyki
popękały, podłoga się ugięła, ziemia rozdziła, Wim Wenders
upuścił kamerę, ogień spalił jej brodę, książki się
zwęgliły i zamieniły w blachę, na której rdza zapisuje
wersy o żółtych kwiatach mleczka w obozie śmierci, o, Prusy,
tankowiec na Morzu Północnym jest samotny jak mewa
cha, cha, śmieje się pesymistyczny Dionizos,
na tyrsie ma kawałek czaszki pana oskarżyciela publicznego,
wszystko jest dosyć komiczne, i oczywiście nic nie jest prawdą,
obserwuję rozpad systemu na parterze, publiczność wstaje, chcieliby

iść, czeka na nich rosół, lecz zawsze w coraz większej liczbie
pojawia się nowa publiczność, pełna sala Szekspirów i
dwóch Cankarów jest wśród nich, jeżdżą na kozach, wyją, maski głupców
owinęli sobie wokół szyi jak flagę, wiadomo,
to są nasi chłopczy, z palcem w dziurze dupy i z jakimś

strusim udem na talerzu,
z pietruszkowym pomponikiem przy kapeluszu,
brodzimy do kolan, cisza jest jak rudzik,
podobają mi się te niedźwiedzie, które nie śpią, bo jest dopiero północ,
lato jest w tym roku już na Arktyce, rozbija fasadę jakiegoś lodowca,
plusk i ogromna fala, trzęsienie ziemi, cyrk trzęsie się, ludzie wykrzykują,
nareszcie mamy całkowity, zbędny chaos,
teatr został założony,
kolejne miasto zbombardowane, wymazane z ziemskiego padole,
używajcie pyłu na pryszczach, Faludża płonie, płonęła, teraz
jest pyłem na wyglancowanych butach mordercy,
na mojej karcie jest jeszcze trochę pieniędzy, to dobrze,
telefon mnie prześladowuje, szpieguje, fotografuje mnie w zakazanych
sytuacjach, skanuje zęby z akrylu i donosi urzędowi skarbowemu, że jestem
cudzołożnikiem, państwo mnie szantażuje, dosyć depresyjnie, przyznając,
założyłem zbędny teatr, będziemy grali zbędne
przedstawienia, pisali zbędne sztuki, utrzymywali zbędną prenumeratę
gazet, pili zbędną kawę bez kofeiny,
mam zbędną gripę w zbędnym szpitalnym łóżku,
lekarza trzeba przywiązać do łóżka szpitalnego w jego
klinice, zaoferować mu jego własne profesjonalne leczenie, tzw. wybitne,
przeziębienie go na oddziałach streptokoków, ale co myślisz,
lecznictwo jest fabryką ustanawiania wysokich płac i przywilejów
dla lekarzy, chorzy są złem koniecznym, im mniej wyleczonych,
tym większa wydajność, każdy kupiec by się
napalił, jeśli klienci czekaliby rok na jego
szczoteczki do zębów, tutaj jest sektor publiczny, żeby władza została
[przy władzy,
trzeba zarobić, sezon grabieży, hura, cholera jasna, plecy mnie bołą,

kłaniam się, pan jest wielką świnia, sprzedajecie się w całości albo w
częściach, a co ta czaszka na dwóch brzuchach,
jakim mordercom ona służy,
co to za jakieś mordercze partie, partie zbieraczy ziemniaków,
kołyszące się jak rosyjska łódź w oceanie wódki,

łód jest zielony, głębia arktyczna jest zielona, śledzie są zielone,
marynowany pstrąg z Morza Północnego jest zielony i Syberia
jest najbardziej zielona, jak światła i
niebo nad Syberią,
moja droga Ivano,
widziała pani te obłoki konserwy,
tej naftowej sody radeńskiej szczawy,
te baseny sody oczyszczonej? Niebo? Niebo jest fioletowe,
kwas solny jest rdzawy od rdzy, łódź podwodna jest zwęglona,
moje szczęki są modne,
słońce jest zielone, na parterze leży przecięta w środku nocy pomarańcza,
już czas, żeby zakończyć przedstawienie dla publiczności,
jest w pół do dziewiątej rano, zasnęliśmy
przewieszeni przez krzesło.

Globalny system pozycjonowania

(Globalni sistem za pozicioniranje, 2008)

FANESCA

Smithson napisał: „Artysta może czynić postępy w określony sposób, dopóki celowo nie zgubi się i nie zatruje syntaksą, która zawróci mu w głowie, on, poszukujący niecodziennych [skrzyżowań znaczenia, dziwnych korytarzy historii, nieoczekiwanych odgłosów, nieznanego dowcipu lub szerokiej pustki wiedzy, powiązania, przenikającego w fałszywą dokładność, i podksiężycowe lub nadksiężycowe zasady.” Smithson, „współczesny artysta, który umierał od modernizmu”, napisał: „Czas zmienia metafory w rzeczy i gromadzi je w chłodnych pokojach albo rozruca je po gwiezdnych boiskach na przedmieściach.” Ktoś (Iztok) napisał czy też spróbował napisać: „Przeczytałem Króla Leara” – powiedział – „z powodu cytatu, który znalazłem u Rushdiego: ‘niech dzuma zarazi oba wasze domy!’” Ale decyzja i tytuł nie były poprawne. Być może chodziło o Henryka IV, albo Ryszarda III. (*The Life and Death of King Richard the Third*). – Dlaczego, do diabła? – Okrzyk z publiczności. – Przyczyna jest prosta i skomplikowana – brzęczały muchy. Muchy wokół miski zupy, jeśli już o tym mówimy, zwanej *fanesca*. Chciałem jednakże napisać jakiś przepis na literacki brodet razem z muchami i stołem i krzesłami, z których nie można wstać

Zielony welon otulił wulkan futrem *puchowców* i białymi obłokami. W długiej procesji mrówek szły dziewczęta z miejscowości Cuenqua. Ich ruch pozbawiał mnie rozumu.

Wszystko miałem przygotowane, przeczuwać można było nawet
jakiś przepis.

Lecz na gęstą zupę z kukurydzy i fasoli
trzeba było poczekać na deszcz. Na telefon,
by wyrazić się dokładnie, lub przynajmniej na możliwość, że do tego dojdzie.
Zastanawiałem się, co się we mnie gotuje,
duchowo byłem nastawiony pozytywnie, rozbawiony.

Odsunąłem pracę ze stołu przed sobą,
na ciemno polakierowane drewno położyłem
nową kartkę. Jeniec wirusa, z chusteczką, wielką
jak ręcznik do nosa Szekspira. Nagle mnie
napadło, kwestie władzy, mocy,
czyste, powiedzmy, nieograniczonej mocy,
jak morze lub ocean, ale ocean uderza o wybrzeże,
moc ma swoje reguły, granice,
trzeba nieprzerwanie rozmyślać o orkanach i wichurach,
takich, które uwielbia Szekspir, wichurach w tle sceny,
ludzie siorbią fasolową zupę z wielkim kaczanem kukurydzy,
wbitym w żółty sok przypraw,
z wielkim kaczanem kukurydzy w ogniu spojrzeń,
jestem jakoś zagubiony, przyznaję, szukam wczorajszej drogi,
po której idą dziewczęta z miejscowości Cuenqua,
w nadziei, że się wydostanę,
w zmęczonej, przeziębionej, śpiącej, wyczerpanej nadziei,

że się otworzy, rozedrze, wyleje,
dosyć śmiało oczekiwanie, Rilke pisał swoje elegie dziesięć lat,
poprawki chyba nie były znaczne, tu odbił słowo,
tam czas zżarł wers albo łańcuszek wersów,
pisać o miłości jest zawsze piekielnie trudno, odnaleźć się w powodzi faktów,
trzeba odreagować, natychmiast, żar tli się jakiś czas,
a potem zjada go noc,
komórki potrzebują dzień lub dwa na doładowanie,
a człowiek jest nienasycony, *Viva fanesca!*
Żywo sobie wyobrażam wejście na Chimborazo,

w towarzystwie dziewcząt lub nawet jednej tylko dziewczyny,
wspominając odpoczynek na górze i termosik z
herbatą z obrazu Balthusa. Gdzie się spotkałem z nim po raz pierwszy?

W Lozannie, na rondzie blisko

Muzeum Olimpijskiego. W ogóle całkowity obszar

Jeziora Genewskiego jest dosyć zatęchły,

być może podobny do atmosfery tego wiersza.

Czy lepiej byłoby powiedzieć: stłumiony? Wszystko jest takie

[uporządkowane,

trawka skoszona dokładnie co do milimetra. Nestle,

Strawiński, Rachmaninow, Chaplin, Sisi w strumieniach krwi i

tamten szalony kucharz, który wymachuje nożem na molo dla małych

[parostatków.

Zacząłem od aperitif, bimbru z kotła pod Krvavcem,

ale pomiędzy człowiekiem i przyrodą ustawił się minister

finansów, łobuz trzeciej kategorii,

nie będziemy mówili o imionach, nie dlatego że balibyśmy się władzy,

ale dlatego że nie zasługują na to, niech jego imię zostanie zapomniane,

tak jak jego brzuch, ta maszyna do produkcji gówna,

jeśli mogą się tutaj powołać na sztukę współczesną, myślę o

słynnej *Kloace* Wima Delvoya (maszyna, która produkuje gówno),

również współczesny poeta tworzy w podobny sposób

otoczony książkami i złością, przesyłając tam komuś na zewnątrz

wiadomości o braku pokory i wolności, polityczny

akt, w tym jest różnica pomiędzy złością czy odezwać się, pomnożyć

chaos tam na zewnątrz, uporządkować rzeczy na podstawie cudownej

[syntaksy,

podrapać się po policzku *i zgasnąć o północy bez bólu.*

Keats albo Eliot? Albo obaj?

U Rushdiego coś mi się nie podoba, nie wiem co.

Istnieją niewidzialne podcienie, jakaś raga nocy,

na krańcu której autor bawi się swoją peruką,

o smaku zupy *fanesca*. Człowiek robi wszystko,

żeby dokopać się do małej szczypty przypraw, która osoli mu wąsy.

Muzyka jest symfonią. Oczywiście można pomiędzy wierszami znaleźć również Napoleona, ale tu chodzi o jakieś popychanie, krystalizację, przerzucanie skały płonnej, co być może komuś wydaje się bez sensu, lecz dialektyka ciemności i zapomnienia jest nieubłagana, a przede wszystkim pojawia się w pakiecie, jak bilet na pociąg przez Kanał i rachunek za telefon, to co ktoś próbowałby usprawiedliwiać historią Romea i Julii, dwóch rodzin, którym Szekspir poświęcił cytat na początku tego wiersza: „Niech dżuma zabierze obie rodziny!” Ale tutaj poruszamy się na polu banalnej polityki, wycie syren policyjnych i oddalony stukot pociągów pod specjalnym nadzorem są zawsze gdzieś w pobliżu, nie zapomnimy o tym, my poeci nie jesteśmy tylko historią pomiędzy wersami zbiorowych złudzeń, ale żywymi istotami, chodzącymi na krawędzi i ryzykującymi,

mianowicie cisza jest tutaj najbardziej spiskowa i tajemnica czerwona jak rozżarzona płyta na piecu. Komputer jest naszym wiernym zdrajcą, tajnym agentem nocy, kolaborantem i egzekutorem, pielęgniarką i trucicielem, donosicielem, który wszystko notuje i archiwizuje w magazynach, opisanych w *Procesie* Kafki. Myślę, że nikt mnie nie będzie sądził, noc zabrała jeszcze ostatniego sędziego, i kiedy go nieśli mijając mnie, wyglądałby śmiesznie, gdyby nie był prawdziwy. Prawdopodobnie planował strajk, ale teraz, wysuszone kości i siwość skóry w rozmiarze małego foka, to wszystko. Gdyby nie było iskrzenia złości w jego oczach, on, który był częścią aparatu śmierci. Ogromny stos grzechów, podnoszący się pod niewidzialne sklepienie, będzie być może moją [górną Syzyfa, wiecznym odgłosem kroków, które przeszedłem, pomimo że nie przeszkadzałyby mi, gdybym musiał je przejść ponownie. Każdy krok [był żywy, wewnątrz żywy, jeśli ktoś mnie rozumie, może nawet prawdziwy.

Troszeczkę kłamstw, które wytrząsałem, niewiele się liczy,
jestem samoukiem, który tu i tam się sparzył, ale wewnątrz,
choć będzie o tym wewnątrz jeszcze trzeba dyskutować,
mieszka szczęśliwy człowiek, taki, który się wysmarkał.

On, spożywający zupę *fanesca*, pikantny posiłek jednodaniowy, do którego
wrzuciłem marchewkę i kurz, drogę i marzenia, fasolę i metalową chochlę,
coś, co na pierwszy rzut oka rozczarowuje,
a później, jak goście odchodzą i nikt już nie patrzy przez ramię,
od dołu przypelza trzykrotnie tak kokieteryjnie,
tylko że wówczas nie uwodzi.

Jak podziwiam te wiecznie żywe ośmiornice (Banya Natsuishi)

lub anioły (Rilke) owinięte peleryną ciemności i ponurego wnętrza.
Istnieje żywa nić, jakiś trzeci wszechświat,
którego dotykasz palcem. Co jest katalizatorem enzymu przemiany,
co wyłuszcza grzbiet, co zwiastuje wiersz?

Korzenie słów spłonęły, ich podpalona woda gruntowa przypomina
drzewa napadnięte przez gryzonie.

Słowa, nuty, które tańczą po partyturze,
dyrygentowi termity wygryzły głowę od środka,
teraz ją ściska delikatnie w rękach jak czarodziejską kulę.

Odurzający ogień przypraw zupy *fanesca*.

– Hej! – zawołałem. Ale za późno, pietruszka przywarła.

W radości będziemy musieli z tym żyć.

Performatyw jest naszą karą.